

Sanatorium dla przegranych

2 kwietnia 2024

Ostatnio dokuczał mi ucisk w głowie – ciągłe, powolne rozsadzanie czaszki, które promieniowało na całą lewą stronę skroni, i sprawiało, że nie mogłem się na niczym skupić przez dłuższą chwilę. Przenikały mnie wspomnienia, w których zdawałem się tkwić niby w rzeczywistym świecie. Zamroczony swoją świadomą nieświadomością, przebywałem w nich chętniej i częściej, aniżeli dotąd.

Potrafiłem orientować się w gąszczach swoich napadowych olśnień. Uważałem, że moje wizje i lęki są autentyczne i naturalne, można do nich przywyknąć, nie są sprzeczne ze sobą, a przeciwnie, uzupełniają mi szarą rzeczywistość. Miałem nadzieję, że to im właśnie zawdzięczam lepsze życie: teraz i w przyszłości, której nie zamierzałem zmieniać.

Rozróżniałem je, klasyfikowałem, traktowałem z jednakową pieczołowitością. Nawet wykluczające się, rażąco odmienne, istniały we mnie na równych prawach. Przerzucałem się od jednego skojarzenia do drugiego, swobodnie przechodziłem pomiędzy urojeniami, omamami, iluzjami, jakby między nimi rozpościerał się jednokierunkowy pomost, kładka, której nikt, oprócz mnie, już nie mógł zobaczyć.

Twierdziłem, że wszystkie wspomnienia są bezwarunkowo konieczne, bo każde, rozbierane z osobna, stanowiło początek następnego, było załącznikiem nowego łańcucha pragnienia zawartego pomiędzy tym, co widoczne, a tym, co nierealne.

Urojenia, omamy i iluzje – to była rzeczywistość, którą ceniłem i akceptowałem. Stanowiły rezultat znanego świata, w którym mogłem poruszać się bez ruchu, nie opuszczając łóżka, pokoju, wózka. Starczyło zamknąć oczy, wyciągnąć się w wannie lub na materacu, włączyć radio z organową muzyką wywołującą we mnie dreszcze, aby przenieść się w inne rejony, by żyć bez

barier i wykrętów, bez szukania zapomnień i usprawiedliwień, jakimi w przeszłości zlepieiałem, sztukowałem i łatałem swój żałosny los.

Dowodziłem, że nie tylko materia nie znosi próżni. Utrzymywałem, iż pustki nie tolerują również przeżycia. Jedne zastępują drugie: wymieniają się niezbędnością. Zdarzenia, których nikt poza mną nie pojmował, zachodziły na siebie, występowały razem, równolegle i równocześnie. Przeszłość i przyszłość stawały się teraźniejszością, monolitem. Białe nie różniło się od czarnego, miłość od nienawiści, piękno od brzydoty, choroba od zdrowia.

Nie było rozziwu między tym, kim jestem, ani przez jaki okres. Ludzie, zwierzęta, przedmioty, ulegały transformacjom, więc zdawałem sobie sprawę, że nie ma się czym przejmować i o co zabiegać, bo niezależnie od usiłowań, życie i tak wytnie jakiś żarcik.

Wypadki nie miały historii, bo wszystko się łączyło i nakładało na siebie, przebiegało w zawrotnym tempie, było czasem przeszłym chwilowym, działo się w przyspieszeniu, co wyglądało, jakby wahania, uskoki z wytyczonego kierunku, uczucia i wrażenia, stanęły nieruchomo, w jednym rozedrganym i martwym punkcie, a całość mojej egzystencji zaczynała być dwuznaczna, ambiwalentna, zdarzała się w jednym czasie, lecz w różnych miejscach: dotyczyła tylko mnie, moich spraw.

Wydawało mi się, że każde zdanie ma swój nieodnaleziony sens i zmierza do wyjaśnienia, znajduje się na właściwym miejscu, potwierdza istnienie ukrytego przede mną, indywidualnego celu życia. Poprzednie przeszkody, hamujące i zawracające z drogi, przestały mnie prześladować, zarzucać swoimi stereotypami. Świat był mi podporządkowany, kręcił się zgodnie z moim nastrojem; szybko, gdy byłem wesoły, ociężałe i po równi pochyłej, gdy byłem nie w sosie, uważny i nieufny.

Czułem, że nie ma dla mnie barier, wątpliwości, zastoju i

sideł. Wypadki, których przedtem nie mogłem wyjaśnić, układały się teraz w jednolity system sprzężeń, przybierały prostą, zwartą i oczywistą formę; zbudowane były z jasnych i zrozumiałych zdań, lecz zdania te w innych budziły paniczny lęk, napięcie, podczas gdy ja, na zewnątrz, prezentowałem wygładzoną z bólu twarz.

Przestraszony, zgłosiłem się na okresowe badania. Wyrok był druzgocący, zresztą nie spodziewałem się innego. Poradzono mi, bym rzucił w diabły dotychczasowy tryb życia, oderwał się od bezpłciowych rozmyślań i zawitał do miejsca, które niegdyś cieszyło się wątpliwą sławą, a teraz stawiane było za wzór. Zapewniano, że tylko tam odnajdę nadszarpnięte zdrowie. Więc pojechałem do tego sanatorium dla przegranych.

* * *

Pewnego dnia obudziłem się odmieniony. Nic mnie nie bolało, umysł miałem jasny i prosty, litery czytanego tekstu nie zmieniały położenia, słowa układały się w zdania, zdania w rozdziały, a książka znaczyła to, co miała oznaczać. Mogłem bez trudu i karkołomnych interpretacji uchwycić jej sens. Za pierwszym podejściem zrozumieć, w czym rzecz. Monotonne zmory uczenia się, mozoły wielokrotnego powtarzania szeregu cyfr, urwały się tak nieoczekiwanie, jakbym wszedł w zupełnie nowy obszar rzeczywistości i wskoczył w lepszy świat.

Odległe, przez co niezrozumiałe wydarzenia, odzyskiwały znaczenie, przestawały istnieć osobno, łączyły się w logiczny ciąg, zlewały w jeden, spójny akt. Potrafiłem, aż po świt, pożerać książki, gdyż w perspektywie miałem cały dzień na odsypianie zaległości. Ale choć spałem krócej niż przedtem, to budziłem się rześki, jakby czytanie i zarwane noce wzmacniały mój organizm.

Inaczej, aniżeli pierwszego dnia, reagowałem na ludzi stąd. Już nie peszyli mnie: byłem z nimi po imieniu, rozróżniałem ich, rozmawiałem, jakby należeli do moich bliskich, a moją

powinnością było wnikanie w ich problemy. Widziałem teraz ich przeszłość, a pod znoszonymi twarzami znajdowałem twarze moich ciotek i wujów. Teren, jego pokoje, tarasy i park, nabierały innego wydźwięku. Pośród zrezygnowanych, powleczonech rzęsą starców, coraz częściej znajdowałem słońce i otuchę.

Dni, miesiące i tygodnie sprawiły, że ludzie, których spotykałem w swoich wędrówkach, zaczęli mnie zauważać, dopytywać, jak spałem. Interesowali się, co mi się przydarza, gdy nie mogę zasnąć. Przedtem nikogo nie obchodziło, co ze mną. Mogłem rzec byle co, że jest mi super lub do chrzanu. Reakcje były podobne: jednakowo chłodne, wyrażające bolesciwe zainteresowanie. Toteż, zamiast odpowiedzi, zacząłem ich odwiedzać. Z ryzykowną odwagą byłem co chwilę gdzie indziej, to w parku, to w dyżurce, to w pracowni, by chłonąć i doświadczać, by niczego co się działo lub miało nastąpić, nie opuścić, nie uronić, nie przegapić, nie zostawić bez konkluzji, by nie zapomnieć najmniejszego wrażenia, by, póki mogę i nie zetrą się w mojej pamięci, być wszędzie od razu, poruszać się, jeździć, przemieszczać jak żywe srebro, żeby gromadzić na zapas te doznania, którymi zapełnię pozostałe, odleżynowe godziny.

* * *

Przez okres nieprzerwanej choroby odoczyłem się życia pośród codzienności. Każda podejmowana przeze mnie czynność wymagała precyzji, koncentracji, zharmonizowania faktycznego ruchu ciała z ruchem opartym na jego wyobrażeniu. Przedtem byłem zadbanym pedantem. Rzeczy, których używałem, miały swoje miejsce. Teraz nie mam siły na to, by je tam odłożyć. Dano mi rentę, nie chodziłem więc do pracy, nie stykałem się z ludźmi zajętymi użeraniem się ze zwykłymi problemami, z tym, za co przetrwać do wypłaty, co włożyć do gara, z czego zapłacić czynsz. W zamian mogłem cieszyć się nieustannie podłym zdrowiem, latać po przychodniach, czepiać się nadziei na cud. A w przerwach pomiędzy pobytami w szpitalach, sanatoriach i u

znachorów, świtem lub nocami mogłem uczyć się, czytać, jeździć palcem po mapie, podróżować po tych miejscach, do których nie pojadę nigdy.

I w takich chwilach uświadamiałem sobie, że mam szczęście; znajomi ze szpitala, chorzy na to samo, już od dawna nie wstawali z barłogu, podczas gdy ja hopsałem po całej sali i wszędzie było mnie pełno, wszędzie był nadmiar mojej obecności, na korytarzu, w dyżurce, w innych salach. Patrzyli na mnie z zazdrością, a wieczorami zwierzali się, że nie czytają, bo nie potrafią skupić się na jednym rzędku liter. Podobnie z oglądaniem telewizji. Skarżyli się, że litery i obrazy są płynne, oleiste i zamazane. Więc gdzie mi do nich, jak mogłem przypuszczać, że jestem do nich podobny? Przecież moje cierpienia były niczym, były błahostkami w porównaniu z ich. I jak, ludzi idących do pracy, zdrowych i zagonionych walką o byt, zrozumieć nie byłem w stanie, tak i ludzi chorych bardziej ode mnie, też. Bo trzeba być w skórze drugiego człowieka, trzeba żyć w jego trudnościach, kompleksach i „nierealności”, by wydawać o nich sąd.

* * *

Stwierdzam ze zdumieniem, że moja choroba trwa dłużej niż okres, gdy byłem zdrowy. A ze stwierdzenia tego wynika pocieszenie: stan, w jakim znajduję się teraz, jest naturalniejszy od tego, w jakim znajdowałem się przedtem. Można się więc do niego przyzwyczaić. Jest bowiem częścią mnie i po dłuższym negowaniu choroby, nadchodzi moment szczerości wobec siebie i roli granej wobec świata. Nadciąga – zgoda na przemijanie. Akceptacja tego, co nieuchronne. Bo, porównując poprzednie oceny swojej zdrowotnej sytuacji z obecną, dochodzę do wniosku, że za kolejne parę lat znowu będę zdziwiony banalnością dzisiejszych narzekañ. I znowu spadnie na mnie następny cios: nadejdą kolejne przerażenia związane z pogorszeniem stanu zdrowia, I, jak zwykle, zostanie mi tradycyjnie sądzić, że sobie nie poradzę.

Autorstwo: Marek Jastrząb

Źródło: [StudioOpinii.pl](https://studioopinii.pl)